

Marek Sztabowski: * Wróżbita listopadowy *

Tymczasem stolika Wróżbity przechodził ogromny kapelusz.

Sombrero sięgające kilku meksyków z doczepionym u dołu drobnym chłopiną, rzadkim jak złudzenie.

Srebrnosiwe wąsy zwisały do ziemi malując

dwa wyjątkowo mokre rowki w błocie.

Całość wyglądała jak owa nierozsądna kolej wąskotorowa,

która wyłania się niekiedy z jednego brokołu jesiennej mgły,

by natychmiast przepaść w bemolu drugiej:

*

moja żona lubiła amigo

rznąła w karty i przegrywała

zrozpaczona piła borygo

ziała

*

- poniosło się asfaltem wieczornego nieba,

poniosło się ku znów tej samej pierwszej gwiazdce,

aby dokładnie pośrodku bezsensu minąć się z echem:

*

mój mężulek piku piku chorował

zaskórniaczka miał serce w skarpecie

choć do śmierci ani mru ani słowa

umarł przecie

*

Echo, chłopina, wąsy, oraz to wszystko co napisane powyżej
zniknęło równie szybko jak się pojawiło dając pole do popisu
rozbudzonej wyobraźni.

- Idiotyczne -

zagaił Wróżbita.

- Ale ustawia nas realnie w świecie -

zaoponował Geniulek.

- To dzięki takim chwilom, beznadziejnie głupim i absolutnie

nieoczywistym istniejemy bardziej, wydając się normalni. -

- A te piosenki?

- Są jak dno szklanki z herbatą, bez którego nie wiedzielibyśmy, ile łyżeczek cukru wsypać. Poza tym łyżeczka
wpadałaby do szklanki raz na zawsze. Ów chłopina (ja wiem, wiem, że nierealny i głupi) potrzebny jest całemu
światu, aby mógł istnieć w swoim wyobrażeniu oczywistości, a Ziemia kręciła się w jedyną słuszną stronę dookoła
Księżyca, czy jak tam teraz mówią podług aktualnego stanu wiedzy.

- Zostawmy chłopinę w sombrero. Lepiej zobaczę, co

tymczasem urosło w Kartach -

zachnął się Wróżbita:

* * *

Nie tak, nie tak, nie nie, nie tak...

- w pustym kościółku szepcze echo.

To lichy w ciszy sieje zły mak

i piołun wlewa w gardła uśmiechów.

Nie tak, nie tak, nie nie, nie tak...

- gwiazdy cekinów w welonie młodej

szponami szarpie cienisty ptak,

zgaszone rzuca na podłogę.

Gdzieś tam, nad ranem śnią wesele

i w tańcu suknię przytulił frak,

a echo lata po kościele:

nie tak, nie tak, nie nie, nie tak...

*

- Zupełnie bez sensu i nie na temat

zaoponował Geniulek

- Poza tym, to takie oczywiste morałki.

Wróżbita wyciągnął telefon komórkowy i spojrzał przeciągle

w pocerowaną snami nadciągającą noc.

- Telefon też jest oczywisty.

Nawet małpa w ZOO wiedząc, że to nie banan,

pieprznie nim o ziemię i poszuka czegoś

jadalnego dla siebie...

*

oczywiście zapalamy światło

wjeżdżamy samochodem do automatycznej myjni

wybierając stosowny jesienny program

w międzyczasie oglądamy zdjęcia z Marsa

oczywiście - oczywiście

nic nie rozumiejąc

*

Tu Wróżbita roztrzaskał telefon o chodnik
i wyciągnął z torby banana

*

Wróżbita:

w pozał się boże małym miasteczku
w nudnej godzinie, gdzieś bez adresu
potrafi przecież wykluc się
coś zgoła nieoczekiwanie innego

banan:

a trawy wtenczas rosną, zielenią
całkiem zwyczajnie
starzeją się

Wróżbita:

więc zrozpaczona, bez szans na jutro
spotkała gościa i stało się
z brzuchem chodziła, tak stało się, że
pomyliła kalendarzyk z numerem
jego jedyne kołnierzyka

banan:

a drzewa wówczas po prostu szumiały
tak jakby szumiały
bez tego całego wszystkiego

Wróżbita:

ten gość to aparat był, bo
aż dotąd przez życie bez butów szedł
choć nie pił tego, nie kłął jak szewc
jakby z galery złudzeń zbiegł

banan:

jesień akurat pryskała sady, i
deszcze jak dreszcze ciągnęły skądś
jesienne chmury kaszlały wciąż

Wróżbita:

ci pokochali się, psioczyły baby
nawet za mocno jej nie tłucze?
ten inny człowiek
ten dobry mąż

banan:

ziąb jak próchnica wykruszał liście
latarnie wcześniej kiwały się
(jeśli oczywiście posiadały aktualne żarówki)

Wróżbita

lecz wyobraźcie sobie: tamtych dwoje

raz tam nie dokręciło gazu

ona umarła od tego w łóżku

on trochę dalej

i nie od razu

banan:

czterdzieści dni listopad był

w tym pozał się boże nudnym miasteczku

w pustym pokoju skrzybiały drzwi

- - -

Kiedy Wróżbita przełknął ostatni kęs banana, Geniulek zakrzyknął:

- A to mi się podoba!

Przygnębiające i nie ma sensu, więc ma sens,

zatem dobrze oddaje Istotę Miłości.

Można powiedzieć jest do dupy,

a ta jak wiadomo jest piętą achillesową każdej Miłości.

Wystarczy celnie kogoś dotknąć, aby zabić nawet te fizyczne:

- - -

jesteś północą a ja północą

srebrzystą konewką gaszę minionych facetów

przemijam jak przemijali

gasząc srebrzystą konewką minionych facetów

cipuszko, a co byś powiedziała
gdybym pozostał do rana?
od dębu wypłakał się raz do brzozy
zobaczyć, czemuż to jesteś północą
a ja muszę gasić srebrzystą konewką minionych facetów
przemijać jak przeminęli
gasząc srebrzystą konewką minionych facetów

cipuszko
cip uszko
cip cip uszko...

w twoich oko licach jest mnóstwo dymu
zwęglone ślady cygar minionych facetów
podejść
szepnę ci
że i tak cię kocham
zanim przeminę
zgaszony srebrzystą konewką

* * *

Blaknąc powoli, słowa srebrzystej konewki odsłaniały kolejne

polany wilgotnej nocy, kosmiczne tratataj wozy wyjeżdżały na czarne plaże ciągnąc za sobą kłęby słonecznych spalin.

Na dole ludzie, jak zwykle mordowali ludzi, umierali ze starości albo po prostu ginęli wysadzani w locie przez terrorystów z porwanych samolotów.

Na szczęście dla degradacji środowiska naturalnego,

większość ludzi w tym samym czasie produkowała nowych ludzi z krótkotrwałą gwarancją przyszłości, a

* * *

Pewien poeta napisał wiersz.

Wiersz piękny, piękniejszy od niego.

Temu poecie, nie wiem czy wiesz,

skrzydła urosły z tego.

Potem, rzecz nie do wiary,

poeta wyleciał kominem!

Psuł na ratuszach zegary,

miął przy tym wesołą minę.

I całe szczęście, powiem szczerze,

że nie wydali mu tego wiersza.

Zaś ów poeta? W taniej operze

gra dziś zielonego świerszcza.

*

30 listopada 2019